

JAN MASZCZYSZYN

NECROLOTUM



Córkom
Alice i Natalie

*Któż pojmie? – prócz tych samych, którzy
Płqsali z falą rozigranej burzy
Tę pełność życia, ten żar krwi, co pali
Serce żeglarza na bezdrożnej fali...*

Byron

*Zaprawdę brudną rzeką jest człowiek
Trzeba być morzem, aby móc przyjąć brudną rzekę
Samemu się nie brukając.*

Fryderyk Nietzsche

PROLOG

*Wybrzeże oceaniczne stanu Victoria.
Późne popołudnie 12 stycznia roku 1908.*

Profesor Ocearus Molier otrzymał tego dnia pośpieszny telegram.

Używana przez Królewski Urząd Pocztowy miedziana koperta wieloużytkowa zwykle zawierała materiały poufne. Dodatkowy fakt doręczenia jej do rąk własnych przez pocztyliona z rangą boczną pozwalał przypuszczać, iż zawartość posiada treść nie tyle niepokojącą, co cenną. Miał bowiem ów uczony wszystkich już krewnych na tamtym świecie, a sam unikał był wszelkiej ludzkiej bliskości, by nie popadać w niepotrzebne smutki.

Stąd natychmiast spojrział na imię i nazwisko adresata. „Pan Honozobiusz Bambley” – bezgłośnie przeczytał. I u spodu dodatkowo drobnym druczkiem: „Emerytowany latarnik jego królewskiej mości Edwarda VII, króla Anglii”.

Zrozumiał więc były wszelkie pocztowe ryczałty.

Nie przypominało to bynajmniej przesyłki rządowej.

A więc wiadomość wysłała mu osoba bliżej nieznaną, można powiedzieć całkowicie obca. Jak się potem okazało, był nią podobnie zdziwaczały samotnik, zamieszkujący jedną z tych zaniedbanych i opuszczonych latarni morskich, w dobie automatycznych przybrzeżnych sterowców zwykle pustych i całkowicie zbędnych. Szczęśliwy traf chciał, że położona ona była w lokalizacji Ocearusowi znanej i ulubionej z racji licznych wypadów wypoczynkowych.

Z przedmieść Melbourne do wybrzeża i półwyspu Liptrap prowadziła brukowana granitową kostką dwustukilometrowa szosa, którą pan profesor wraz ze służącym pokonali srebrnym automobilem marki Cureus Vipo, z rozrządem zewnętrznym i olbrzymim gaźnikiem. Dystans pokonali w przeciągu czterech godzin i dwudziestu dwóch minut, precyzyjnie odmierzonych profesorskim chronometrem. Dane te uczony skrzętnie zapisał w książce pojazdu.

Noc tuż przed umówionym porannym spotkaniem nasi podróżni spędzili w pobliżu celu, to jest w przyjemnej gospodarstwie nieopodal zacisznego Walkerville. Około szóstej piętnaście rano nakręcili motor i tocząc się na pełnych obrotach po polnej drodze lokalnej, wdarli się w gęsty i suchy o tej porze roku busz półwyspu Liptrap.

Jakby na przekór spodziewanym prognozom gorączki letniej, ranek obudził się mglisty. Na domiar złego pierwszy brzask przyniósł irytującą mżawkę. Stąd od miejsca postojowego aż do samej plaży czarny sługa Marcellus musiał towarzyszyć panu idąc z rozpiętym, wielkim parasolem w roztrzęsionej od zimna dłoni. Był zmuszony się śpieszyć. Przodem bowiem znacznie szybciej kroczył inny dżentelmen: dziarski, szybki, bezkompromisowy i zdecydowany. Wcale już niemłody, ciut tęgi i niewątpliwie krzepki, miał na sobie ciężką rybacką kurtę, która, tak jak jej pan, nic sobie nie robiła z padających na nią kropel. Co więcej, zdążył zatknąć pomiędzy zęby ustnik wielkiej fajki, zaciągając się kilkakrotnie i idąc, puszczać dym w kształcie regularnych marynarskich kótek, jak przystało na dawnego bosmana. Co chwila pokasływał, trzymając dolną krawędź dłoni na ustach, sposobem starych morskich wyg. Spluwał też podobnie i całkiem zamasyście. Marszczył przy tym srogo czoło i poruszał krzaczastymi

brwiami, w miarę jak wzrok napotykał nadmorskie skały. Obracał się do profesora za każdym razem, gdy o wybrzeże uderzała szczególnie duża fala, i międlił wtedy na ustach ten swój przyjacielski uśmiech, jakby z dumy, jakie to harce wyprawia dziś morze.

Pod pachą wyga dzierzył spory sztucer, którym lokalni zwykli polować na zdziczałe, karmiące się ludzkim mięsem foki i operujące przybrzeżnie pingwiny.

– Daleko jeszcze mam iść? – spróbował zainicjować konwersację pan profesor Molier, bo gospodarz od pół godziny słowa wydobyć z gardła nie raczył.

– Tam, obok tej wielkiej skały – rzucił latarnik, wskazując ustnikiem miejsce, do którego zdecydowanym krokiem podążał. – Odnalazłem owo mechaniczne cudo zaraz po wielkim nocnym przyływie! – dodał, przekrzykując rozbijające się o nabrzeże fale. – Niewątpliwie pływało. Zagadką będzie, jak taki kolos potrafił utrzymać się na powierzchni wody, bo jest za ciężki. A żeby go z piasku wydobyć i przenieść na pokoje, potrzeba siły dwóch koni.

– Za ciężki? To znaczy z nierdzewnej stali go wykuto?

Wyga morski zatrzymał się, by z fajki wystukać na skale popiół, i powiedział:

– Przy pierwszych oględzinach stwierdziłem, że jest odlany z żeliwa, ale później nie byłem pewny. Zrewidowałem własne głupie stanowisko. Zbadałem powierzchnię z bliska. Użyłem lupy. I wtedy dostrzegłem wzory charakterystyczne dla porowatości skalnej, więc uznałem – choćby to wydawałoby się panu niemożliwe – iż wykonano go bardzo dawno temu i że jest odlewem z lawy. Czytałem bowiem w młodości Parcavelsa i jego teorii dotyczące się technologii podmorskiej rasy gluorów. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie fotografie ilustrujące pracę. Tak, tak, owszem, fantazuję. Widzę po pańskiej minie, że nie-

przyzwoite to sprawia wrażenie i umniejsza powagę mego wieku. No ale cóż, taki już jestem.

– Ależ proszę się nie obwiniać. Słucham z całą należną powagą.

– No więc, długo się nie zastanawiając, zbadałem machinerion z zegarmistrzowską precyzją, bo przywiódł mi na myśl starogrecką maszynę liczącą z Antykithyry¹ odnalezioną całkiem niedawno, bo w roku 1901.

– Dość pan jesteś czytany jak na latarnika – pochwalił profesor z jawną przyjemnością.

– Cóż robić w wolnym czasie? Poszukiwałem więc kółek zębatach bądź ich obrysów na powierzchni machiny, a wiadomo, dość porzewiała, nie wykazywała subtelnych różnic. Poza tym migiem rozpoznałem linię konstrukcji znacznie starszą niż grecka z roku dwusetnego przed naszą erą. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale zaryzykowałem stwierdzenie, iż oto mam do czynienia z artefaktem atlantydzkim. Natychmiast doznałem entuzjastycznej drżączki. Pobiegłem do domu po szmatki antyrdzewne i płyn Hoghlanda. Po przemyciu kilku powierzchni bocznych przyuważyłem zarys kłapki, która stosunkowo łatwo dała się otworzyć. Stamtąd wyciągnąłem wspomniany list foliowy i poszarpane mapy, które pochłonęły mnie zupełnie już przy pierwszym rzucie oka. Były żąb w żąb podobne do rycin z książki nawigacyjnej admirała Piri Reisa² bazujących na dwudziestu kilku źródłach obcych, których wiek sięga daleko poza antyczną Europę. – Mężczyzna mówił, a z oczu wyzierał mu tak szalony blask euforii, że aż przestraszył nim profesora. Stąd uczony zdecydował się szarpnąć go z lekka za ramię i uspokoić stwierdzeniem:

– Już dobrze, wierzę w każde pańskie słowo. Ale chodźmy czym prędzej, bo już mocno mnie pan tym wstępem zaintrygowałeś.

Obaj dżentelmeni spokojnie zeszli ze skarpy i wolnym krokiem podążyli do miejsca lądowania obiektu. Tam obesli urządzenie, czasem się zatrzymując i komentując, a czasem tylko krążąc w milczeniu i gapiąc się z nieprzerwanym podziwem. Służący z trudem w tej gonitwie nadążał za panem Ocearusem, a już z utrzymaniem parasola miał oczywisty kłopot. Wiatr się bowiem wzmagał i deszcz zaczynał pod kątem zacinać, chlapiąc na surduty i twarze. Sprytny Murzyn zdecydował się więc obejść przedmiot morski i salwować profesora od strony nadchodzącego oceanicznego szkwału.

Tak udało mu się wykreować chwilowe zacisze wolne od mżawki.

Wszyscy trzej, mocno zaintrygowani, pochylili się, aby przez szkła zestawu lupowego bliżej przyjrzeć się szczegółom obiektu. Wciąż pozostawało faktem niewątpliwym, że przedmiot, choć mocno zasypany piaskiem, wykazuje aktywność mechaniczną. Napędowe turbiny pomimo klekoczących łopatek wciąż z cichym szumem pracowały, a śrubowe wypustki usiłowały uchronić rzecz od dalszego zasypania, odgarniając piasek. Machina wyglądała więc jak próbujący się wydobyć z pułapki żółw morski.

Trzeba przyznać naszym odkrywcom, że ani na chwilę nie przyszło im do głowy, żeby się bać. Co raz tręcali kuriozum patykami, co chwila eksperymentowali zatykając dysze i rozwierając liczne klapy. Odstępowali na kilka kroków wstecz, gdy nagle coś kopcilo i pośród wydobywającej się pary można było wyczuć domieszki wstrętnego i bliżej nierozpoznanego smrodu nieziemskiego oleju.

- Gdzie znajduje się skrytka na listy?
- Tutaj.
- Aha...
- Otworzyć raz jeszcze?

– Proszę bardzo. Niech pan otwiera. Wszystko inne już przepatrzyłem.

– Proszę...

– Dziwne odrzwia izolowane miękką gumą – skomentował Ocearus.

– Dla szczelności, przypuszczam.

– A więc od początku zamiarom konstruktora przyświecał zamysł przesyłania korespondencji – ocenił uczony.

– Najprawdopodobniej tak.

– Taka współczesna butelka morska – podsumował.

– Tak wygląda. Tylko na cóż zbudowano ją tak wielką? Czyżby służyła do pokonywania przestrzeni i przeszkód nam nieznanym?

– Hm... Czy aby na pewno widział pan ze szczytu swojej wieży, jak toto zdalnie przybija do wybrzeża? – spytał Molier nieco zaskoczony całkiem prawdopodobną hipotezą dobrodzieja.

– A jakże, widziałem. Robiło to, alarmując wszystkich dźwiękiem.

– Coś podobnego! – zdziwił się uczony.

– Syreną parową się ozwało mocniej od cumującego okrętu. I co lepsze, grzebie dalej w ziemi, bo zamyśla powrót w morskie żywioły. Jednak wnioskując z listów, misja jego po dotarciu w pobliże Melbourne³ wygląda na skończoną.

– Intryguje mnie pan coraz bardziej. Czy aby naprawdę zaadresowano to wszystko prawidłowo?

– A czyż ja wyglądam na dowcipnisa, których pełno w wielkim mieście? Oczywiście, że do pana były pisane listy. Wszystkie przeczytałem, lecz przyznam otwarcie, iż strony tłumaczeń natury technicznej w pełni nie pojąłem. Same liczby i symbole, rozpiski i wykresy.

– Urządzenie wygląda mi na antyczne – konkludował profesor, puszczając mimo uszu godną pochwały szcze-

rość. – Kształtem przypomina niebywale ostry pocisk.
– Obchodził przedmiot wokół, referując pokrótce to, co widział: – Dotąd nie odnalazłem na żeliwnej powierzchni tabliczki znamionowej żadnych bitych znaków firmowych huty lub choćby miejskiej odlewni. Brakuje również numerów stoczni, która jest zobowiązana wydać takie w przypadku klasyfikacji i wypuszczenia cuda na odmetę. Są tylko jakieś rozmyte lub okopcone gryzmoły.

– Wie pan, sam podejrzewałem, że spadła z nieba.

– Hm, wątpię. Nie posiada nadtopień charakterystycznych dla gwałtownego przejścia przez atmosferę. Nie widzę nic, co potwierdzałoby sugerowane przez pana pochodzenie kosmiczne.

– Miałby nadzieję z podziemi?

– Otóż właśnie sobie myślę, że jest to prawdopodobne. Któż bowiem na powierzchni potrafiłby konstruować z lawy podobne wytwory? – spytał profesor tonem nie wiadomo czemu pełnym zawodu.

– Myśli pan, że to lawa przemysłowa?

– Czemuż nie?

– Może czegoś więcej dowie się pan z załączonych listów?

– Pewnym jest, iż przedmiot przybył z daleka, ze światów archaicznych i dziwnych.

Raptem pan Molier, tknięty osobliwym przecuciem, zdecydował się obejrzeć przeciwległy bok obiektu.

– Pomóżcie mi, panowie, przewrócić znalezisko na drugą stronę – poprosił obydwu. – Może gdzieś tam jest ogromne wiertło? Wtedy dałoby się wyjaśnić pochodzenie obiektu, a przynajmniej potwierdzić, że przewiercił się przez powłokę ziemską.

Z pomocą Marcelussa, który poskładał minutę temu parasol, spróbowali przetoczyć żeliwniaka na inną kanciastą

stronę, ale nawet we trzech nie dali rady. Zbyt opornie szło wydobywanie takiego ciężaru z piasku.

– Potrzebne będą tutaj konie – wymyślił służący.

– Już zawezwałem odpowiedzialne służby. Niech się pan nie boi pracy i ciągnie z łaski swojej – rzucił latarnik z pretensją. Murzyn ze złością wzruszył ramionami i odsunął się o krok wstecz.

Ocearus znów uznał incydent za niebyły.

– Kształt tego czegoś u spodu zdaje się przypominać grecką amforę o przedłużonym brzuścu, w której ongiś przewożono trunki. Niezwykły to przedmiot – podsumował profesor Molier. – Podejrzewam, że wyposażony jest w zegarową pamięć, co stawia go w rzędzie automatonów.

– Hm, automaton⁴? Ani Niemcy, ani Imperialna Japonia takich jeszcze nie produkują.

Ocearus kiwnął na zgodę i dorzucił:

– Zdziwiałając, jak odnalazł nas na kontynencie tak wielkim? Jego historia intryguje mnie coraz bardziej.

– Doprawdy? – Tutaj latarnik zmrużył oczy i palnął z zaskoczenia: – Nadawcą był pański brat.

Słowa zrobiły wielkie wrażenie. Czarny sługa i pan spojrzeli po sobie.

– Tyle że Immanuel udał się przed niespełna dwudziestoma laty z wyprawą ku Jowiszowi – usprawiedliwiająco jęknął Ocearus.

– A więc ten tutaj – latarnik wskazał obiekt swą fajką – musi być pociskiem międzyplanetarnym. – To mówiąc, roześmiał się grubiańsko. I bijąc się łapskiem po piersi, nie umiał przestać.

– Lub też kompletnie czym innym – skonstatował rozdrażniony profesor. W jednej chwili się odmienił. Jakby się uparł i rozgniewał. Bo faktem było szerzej znanym, że mu już nieraz wypominano, iż brat jego ukochany zhańbił się

nieudanym naukowym eksperymentem i w ucieczce przed światem w najgłębszych pieczarach Ziemi odnalazł schronienie. A wraz z nim siedemdziesiąt milionów biedaków, których porwał rewolucyjnym słowem i czynem.

– W listach wspomina się o Necrolotum – oznajmił Honozobiusz, gdy Ocearus wydał się już całkiem opanowany i ponownie skory do prowadzenia śledztwa.

– A cóż to takiego?

– Jest to kombinacja wyrazów pochodzenia grecko-łacińskiego, a jeszcze dawniej – atlantydzkiego. Oznacza podmorską międzyplanetarną sieć, do której otwarcia służy bezgłośne słowo. Słowo symbol. Słowo klucz.

– Czyżby miało coś wspólnego ze śmiercią? – Pytanie naukowca zawisło na chwilę w próżni. Wzbudziło irracjonalny lęk.

– Tak – całkiem spokojnie zgodził się dawny bosman..

– Z ożywiającą śmiercią, reinkarnacją, z hinduską samsarą⁵, - ożywił się Ocearus, pojmując z nagłą wagę odkrycia – z jej bogactwem cyrkulowanych elementów, z tradycją i tajemnicą najgłębszych wód i...

– Atlantów⁶ – dokończył latarnik, uśmiechając się enigmatycznie. – A najlepiej jeszcze gluorów⁷ – dodał, nabijając fajkę świeżym, pachnącym ładunkiem z wyciągniętego z kieszeni woreczka.

– Tak, właśnie. Dokładnie to miałem na myśli – zgodził się z przedmówcą pan Ocearus. – I to wszystko znalazł pan w listach?

– O wiele więcej, mój panie, o niebo więcej... – zapewnił.

1

W kilka lat od tego zdarzenia siedzieliśmy na sofie, ja i Abelia, mocno przytuleni, w gorąco dyskutując na bieżące tematy:

– Czegóż jeszcze od siebie wymagasz? – zapytywała narzeczona, kobieta piękna, młoda i finansowo uposażona, lecz kompletnie rozstrojona wynikiem ostatnich wypadków.

Tłumaczyłem jej długo i zawile, sam niekiedy wątpiąc w słuszność mej tezy:

...że będąc raczej słabo rokującym dziennikarzyną „The Argus” niż wziętym korespondentem nigdy niczego nie osiągnę, że będę tkwił w papierach po uszy i prosił się tępych redaktorów o marne rubryki. Z kiepskiej pensji nie dam rady pokryć czynszu lichego dwunastopokojowego mieszkania, nie uposażę dzieci, nie usatysfakcjonuję w stopniu najmniejszym jej szlachetnej osoby z renty oficerskiej i farmerskich wpływów. I że żywię wobec niej uczucia najgłębszej miłości i wielkiego szacunku, że śnię każdej nocy o jej bliskości, że potrafiłbym udać się do samego dna piekieł, gdzie nieskromnie zażądałbym od szatana, by kupił mą duszę i wymienił na lata szczęścia u jej boku. Nie byłoby rzeczy, której bym dla niej nie zrobił, góry, której bym nie zdobył i morza, którego bym nie przepłynął, lecz we wspomnianej materii o to jedno ją, ukochaną ponad wszystko, proszę...

Głaskała me ramię i trzeźwymi słowami od nowego pomysłu odwodziła. Wtedy ja w inne wpadałem tony:

– Pani ma najdroższa – mówiłem, oczekując współczucia – owszem, mógłbym ruszyć mobilem pasażerskim

do Ballarat⁸ i tam, harując w kopalniach złota, dorobić się po latach pięknego domu z wyciągowymi balkonami, z wieżami o zmiennej wysokości, o murach z kontrastami, ale taka perspektywa ciężkiej pracy fizycznej staje w opozycji do mego światopoglądu – dodałem.

– Ależ któż ci każe pracować tak ciężko, Jack?

Znów jej przerwałem:

– Poza tym jakie hańbiące to byłoby zajęcie dla dżentelmena, którym ze zmiennym szczęściem zawsze byłem? Dla inżyniera kawitologa, dla licencjonowanego geologa i hydrologa? Dla literata i filozofa? Dla podróżnika?

– Już dość zrobiłeś dla ludzkości. Te wszelkie wyprawy i poczynione dla ratowania zaginionych ekspedycji wspinaczki! Dla armii utraciłeś zdrowie – dorzuciła egzaltowanym tonem. – Masz już czterdzieści sześć lat. Myślałam, że biologicznie postarzały, psychicznie też się ustatkujesz, a tu nagle dochodzisz do konkluzji niesłusznej, że jeszcze nie dość? Nie za późno już na skrajne ryzyko? – rozważała.

– W życiu nie upaprałem sobie smarem ręki – wyznałem na poły szeptem, na poły do siebie, ciągle myśląc ze wstrętem o fizycznej pracy, a puszczając jej wnioski mimo uszu.

Wtedy podała mi list, który jej wysłałem nie tak dawno. Kazała mi na głos czytać:

Moja Najdroższa Abelio – pisałem dnia 24 czerwca roku 1912.

Przed oczyma stanął mi inny poranek i inna ulica. Wspomnienia zdawały się na nowo żywe.

Nie dalej jak dwa miesiące temu oddział speleologów militarnych, którym będąc w spoczynku kierowałem, otrzymał propozycję wysoko płatnej asekuracji misji ratunkowej dowodzonej przez jeszcze mi wtedy nieznanego lorda Duncana Bizzarda. Znany powszechnie podróżnik i łowca dzikich bestii udawał się w głąb nie tak dawno odkrytej szczeliny skalnej,

nazwanej na cześć odkrywców jaskinią Portiera Meddisona. Najgłębsza i najrozleglejsza pieczara, jaką do tej pory odkryto, trafiła natychmiast do stanu zasobu armijnego. Nie wysłano do wnętrza ludzi, ale automaty kroczące. Sterowana drutem telegraficznym żeliwna rura balonowa zapuściła się aż na czterysta szósty kilometr. Tylko brak było informacji, czy dystans ten był przez maszynę mierzony w pionie, czy w poziomie.

Żyjemy w arcyciekawych czasach, najdroższa ma Abelio! – pisałem dalej.

Oto zaledwie dwa lata wcześniej sir Albert Chesley zdobył na pokładzie sterowca „Ambomidall” biegun południowy. Księżę Randall Huppier założył w wydrążonych lodowcach arktycznych pierwsze w historii pływające bazy polarne, a inżynier Pustoo zwodziwał pontonowe mosty, łączące kontynenty Europy i Afryki.

Podczas gdy księżę Eduardo Petersbourough szykuje się do swej pierwszej wyprawy na Księżyc, niewielka radiotelegraficzna skrzynka w locie bezzałogowym właśnie mija Plutona.

Kazała mi przerwać na chwilę.

– Po co mi o tym wszystkim pisałeś? – zapytała. – Chciałeś mnie ujrzyć zasmuconą?

Po namyśle odparłem:

– Jako że byłaś i jesteś mi drogą sercu duszą, ufałem, że mnie zrozumiesz. Tylko się wtedy usprawiedliwiałem, że cały świat się w odkrywczości rozszalał i rozkochał, a ja wraz z nim do reszty sfiksowałem. Za pierwszym razem, będąc jeszcze świeżym speleologiem kadetem, musiałem wziąć udział w militarnym eksperymencie i wraz z tysiącem innych odważnych przetrzeć szlaki konstrukcji kawitalnej⁹. Rzykowałem, zapinając na ścianach ogromne szyny i wprowadzając na nie po raz pierwszy w świecie parowe automaty. Sam przecież zakładałem łącza, kleja-

łem w precyzyjne odlewy druty sterowania i naprowadzając obiekty na tory, instruowałem pamięć mechaniczną, jak dalej toczyć powinna machinerion w głąb ziemskich otchłani. Nie chciałem tej męskiej gorączki utracić. Kim byłbym, pozbawiony jej? Wytartym szczegółem zajmującej historii? Wybacz, ale jeszcze nie chcę.

„W sumie zapięto do skały drabiny szynowe o łącznej długości dwudziestu tysięcy metrów – dodałem w myśli. – Z eksploracji zrezygnowano zaraz po tym, jak w składzie atmosferycznym podziemia dostrzeżono niebezpieczne stężenia ulatniającego się ze ścian gazu lub jeszcze czegoś innego. O czym sza... W końcu Brytyjska Armia Imperialna zdecydowała się otwory wejściowe zaczopować i na lata całe wszelkie dostępy do korytarzy obmurować i zamknąć kratą. Dopiero skonstruowanie przenośnej i lekkiej maski gazowej pozwoliło na bezpieczne przebycie szeregu zatrutych kilometrów”.

– A pamiętasz, kiedy przybył do mego domu pewnego popołudnia dumny i w nieco podeszłym wieku oficer? – zapytała.

– Był to pan Bizzard?

– Otóż to. On właśnie – potwierdziła, rozsiadając się wygodniej na sofie, którą zajmowaliśmy wspólnie.

– Pamiętam, że kilka lat wcześniej, będąc jeszcze asystentem inżyniera kawitologii, pana Morrisa Hugleya, ukończyłem zaoczne studia z zakresu potamologii. Trzeba ci, pani, wiedzieć, że to wprost królewska nauka o rzekach, strumieniach i jeziorach. W kraju, w którym większość dzikich ostępów stanowią niezmierzone pustynie, na niewiele by mi się jednak przydała. Pogłębiłem więc studia hydrologii i oceanografii. I tu znów fiasko. Zaczepiłem się więc o geologię. Ta ostatnia zgłębiona szczegółowo wiedza wspólnie z kawitologią stosowaną stały się na długo źródłem mego utrzymania. Zdobyłem od ręki licencję

kadeta speleologicznego. Sam namiestnik cesarski korony australijskiej pogratulował mi sukcesów.

– Jednym słowem stałeś się fachowcem, którego oprócz skał interesowała woda, woda i jeszcze raz woda, i to woda w każdym jej stanie skupienia, sprężenia i krystalizacji czy obszarów występowania. Mój ty kochany wodniaku – rozmarzyła się panna, tuląc na nowo do mego ramienia.

– Jak dobrze wiesz, na przeciąg kolejnych dwóch lat oddaliłem się od życia publicznego i poświęciłem całkowicie armii. Wziąłem udział w wielu poważnych ekspedycjach naukowych. Uczyniono mnie korespondentem gazety codziennej „The Argus”, której biuro prasowe mieści się w tym samym budynku na Elizabeth Street, co „The King Rodent” i „La Puffalo”. Dotarłem do najgłębszych jaskiń Nowej Południowej Walii, gdzie budowałem dla rządu systemy jeszcze raczkujących urządzeń wydmuchu kawitacyjnego. Technologia ta, wykorzystująca pryncypium rozprzestrzeniania lawy, zdolna była do stopienia każdych gruntów i do wydmuchiwania cieczy skalnej w przygotowaną nieckę na przestrzeni kilku podziemnych kilometrów. Idealna do podziemnej inwazji na obce, zagrażające naszym politycznym interesom państwo. Parowe drabiny nie były jeszcze wtedy tak sprawne jak dzisiaj. Mechanizm z trudem dawał sobie radę z ciągnięciem ich w głąb potężnych studni wulkanicznych. Bezwzględnie wymagały asysty człowieka. W tamtej pracy niemal straciłem obie nogi.

– I musisz akurat teraz wracać wspomnieniem do tych ponurych szpitalnych czasów?

– Mam swoje powody. Muszę. – Mój grobowy nastrój chyba się jej udzielił, bo nagle posmutniała. – I tam, w przyszpitalnym ambulatorium, los zetknął mnie z osobowością nie tyle inspirującą, co przemożnie umysłowo wpływową, która wywróciła moje poglądy w kwestii otaczają-

cego nas świata i wskazała istotne dynamiczne, a dotąd mi nieznane powiązania. Był to naukowiec, profesor nadzwyczajny i hrabia w jednej osobie: Ocearus Gwidon Molier.

– To miałeś szczęście – niemal zaszydziła.

– Zajmowaliśmy się wówczas w laboratorium na Bourke Street szczytną analizą wyników hydrogeologii złożowej. Interesowały nas szczególne różnice w wykrytych przez wspomnianego pana Moliera specyficznych zanieczyszczeniach w zbiornikach wód podziemnych. Ponieważ byłem, jak mówiono, wyjątkowo uzdolnionym fachowcem w tej dziedzinie, Ocearus zadał mi do przeprowadzenia szereg niekonwencjonalnych eksperymentów, które przy takim nadmiarze faktów i wydźwięku ideowym wzbudziły zarówno moją czujność, jak i ciekawość.

– Poddał cię interrogacji?

– Tak. Interesowały go tajne informacje militarne. Chodziło mu przede wszystkim o prognozowanie migracji wód. O sposoby regulacji przepływu i wszelkie wzrosty i niedomiary. Pytał o okresy posuchy w najgłębszych znanych nam jaskiniach, o poziom wilgotności powietrza, a nawet o napotykaną życie biologiczne w rodzaju nieznanym nam bliżej form robaków i glonów.

– Ocearus pytał o migrację wody? Nie rozumiem, dlaczego armia zajmowała się tak prozaicznym tematem.

– Na wojnie nie ma prozaicznych tematów.

– Przecież panuje pokój.

– Coś takiego jak „pokój” nie istnieje. Zwykle intensywnie przygotowujemy się do kolejnej wojny.

– Czegóż więc szukał profesor? Czyżby pracował dla obcych wywiadów?

– Spokojnie. Jest dobrym patriotą i zasłużonym bohaterem. Uważał, że część zasobów wodnych Ziemi nie należy do planety, a przybywa z innych wymiarów.

– Skrajnie nieprawdopodobna hipoteza.

– Też tak myślałem. Dostawałem gęziej skórki na samą myśl o ewolucji gatunków w najgłębszej eksplorowanej przez człowieka, bo podłądowej strefie ziemskiej skorupy. Profesor mówił z tak dziwnym przekonaniem i tak zawile perswadował, że czasem podejrzewałem go o szaleństwo. Szczególnie gdy podsuwał mi szkice odnalezionych organizmów. Bałem się onych wymagowanych skorupiaków, szczególnie form na powierzchni już zapomnianych, z dawna zaginionych. Tam, gdzie planeta według biegłych uczonych ukrywała trzykrotne zasoby wodnej masy wszystkich powierzchniowych oceanów, mogło istnieć życie ekstremalne i potworne w każdym rozmiarze.

– Miałeś partnera do dyskusji. Chociaż sama lubuję się w okresie kambryjskim.

– Och, tak. Człowiek to świątły i biegły w każdym rozumowaniu. Wówczas też wspomniałem mu o wynalazku, który, jak wiesz, pragnąłem jak najszybciej upublicznić. Przez kilka najbliższych dni mnie nękał i napominał, bym bezwzględnie nikomu wyników mych badań nie pokazywał. W końcu wysupłał kilkaset funtów i zachęcił mnie do milczenia. Zabronił na podstawie umowy pisemnej puścić wynalazek w patenty i sprzedaż aż do dnia pierwszego stycznia roku tysiąc dziewięćset trzynastego.

– Czyżby to była data przypadkowa?

– Nie wiem. Zabrałem pieniądze i podpisałem papiery.

– Czy to ten sam projekt, w którym utopiłeś kilka tysięcy moich funtów?

– No cóż... Jesteś moim największym udziałowcem.

– Ale ja też nie ujrzałam nawet odrobiny tej nurkowej maszynerii.

– Mam to już w konstrukcji.

– Mówisz mi to od roku.

– Lada dzień przyniosę prototyp.

– No dobrze. I wtedy słuch o profesorze zaginął?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Tak. Na próżno go szukałem. Rok cały lub dłużej nie dawał znaku życia. Dopiero niedawno ujrzałem na progu mych drzwi postać, dość enigmatycznie uśmiechającego się lorda Duncana.

– Już go widzę, jak się dumnie wypina.

– Stał z zapaloną fajką. Raptem ją o odrzwia wystukał i zamyślony strzepnął popiół na wycieraczkę. Wstrząśnięty własnym zachowaniem, przepraszał, obwiniając swój stan nerwowy.

– Było to pierwsze wasze spotkanie?

– Tak. Przedstawił mi pokrótce siebie i misję, w której ja miałem również wziąć udział. Stwierdził lakonicznie na koniec, że mój udział w wyprawie będzie ekstraordynaryjnie istotny.

– Ekstraordynaryjnie istotny? Mój Boże, jakże proste słowa potrafią cię uwieść!

– Oczywiście wpuściłem go do środka. Wkroczył. Rozglądał się po przedpokoju z nonszalanckim uśmiechem. Miał przewieszony przez ramię pas z potężnym, podwodnym rewolwerem, a w ręce, której mi nie podał, teczkę bodajże z mapami wszystkich światów.

Scena ta jak żywa stanęła mi w pamięci.

– Przybyłem tu z polecenia profesora Moliera – zaprezentował się. Gdy usiadł i tak mówił, rzetelnie dobierając słowa, aż powiało od niego myśliwskim trofeum, potrząsnął mną dreszcz niesłychanych emocji. Poniosły się wokół ostre śwędy, a to z dalekiego buszu, a to z nakrapianych skałami niezmiernych pustyń z żerującymi na nich metrowymi skorpionami. Bo przybysz był z tych niezłomnych, co po trupach dążą do celu.

– Pan Molier, pańskiej pomocy mnie poleciwszy – wyrzekł oględnie, napinając pomiędzy nami atmosferę – kazał wspomnieć butlę parową, której fragmenty miałeś pan kiedyś okazję oglądać.

– A tak, przypominam sobie – potwierdziłem, chociaż wciąż mnie senność i zmęczenie trapiły, czyniąc wspomnienie niewyraźnym i nieautentycznym. Ale tak, zauważyłem coś takiego w hotelowym apartamencie zaraz po powrocie ze szpitala! Niewyraźnie przypominałem sobie fragmenty podmorskiej butli.

– Otóż mam drugą taką samą, przybyłą niedawno na mój adres własny, a mieszkam nad morzem, w okolicy Inverlock. Znalazłem wewnątrz list wzywający mnie do natychmiastowego udzielenia pomocy i opisujący wypadki nieprawdopodobne i prawie niemożliwe. Otóż pan Ocearus Molier testujący teleportacyjne węzły wiodące ku planetom obcym zarówno z najgłębszych morskich otchłani, jak i z nieprzebytych pieczar, uwięziony został przez wypadki niefortunne na najniższym podziemnym poziomie. Tam jego życiu zagraża bliskość aktywnego za ścianą skalną wulkanicznego kanału. O tym właśnie wspominał Edward Roche, twierdząc, że lawy rozpuszczone spoczywają tam na metalicznym jądrze.

– Tak, ale Roche¹⁰ mówił coś o odosobnionych jeziorach lawy, nie o całej podpowierzchni¹¹.

– W rzeczy samej, przypominam sobie. Jednak ich obszerność nie może być tak wielka, gdyż inaczej przyciąganie Słońca i Księżyca spowodowałyby dotkliwie przypływy.

– Powiedzmy.

– Podług więc tej hipotezy, obniżając się ku środkowi Ziemi natrafimy na jeziora roztopionych mineralnych materii, a tuż obok na stwardniałe jej części i ciągnące się w nich kawitacje.

– Tak myślę.

– Tam więc nasz dobrodziej przebywa. Najniższy to poziom. Lata zabrały mu droga na powierzchnię.

– Niestety, trzeba mierzyć siły na zamiary.

– Mierzył, jednak... Staął biedak przed problemem mechanicznej kraksy. Niemożliwością było uruchomienie posiadanego sprzętu. Zatem zdesperowany uprosił przyjaciela, aby się poświęcił i zawrócił ku morzu. On to miał spróbować mnie odnaleźć za pomocą szczególnie dokładnie zaadresowanej podmorskiej butli.

– Sam nie mógł się przez to morskie przejście pofatygować i bezpiecznie zawrócić? – drażniłem lorda, chociaż dawno już podjąłem decyzję.

– Chodzi o przetestowanie obu metod transportacji. – Złościł się. – Skoro pierwsza droga wodna nie sprawia większego problemu, pora skoncentrować się na drugiej.

– Rozumiem zatem, że jest osaczony w mroku najgłębszych skał?

– Właśnie.

– Pozostała mu wspinaczka?

– Bite osiemdziesiąt kilometrów z dołu do góry. O dystansach horyzontalnych lepiej nie wspominać. Tak właśnie się sprawa przedstawia. Szczerze pana upraszam – ponaglał lord, gdy przeglądałem przyniesione przez niego nie tylko mapy, ale także dokumenty i listy. Przystudiowałem również prawdziwość pieczęci na zezwoleniach wojskowych i zbadałem podpisy znanych mi zacnych generałów. Wszystko wydawało się być w idealnym porządku. Nieczęsto zdarzał się ktoś, kto tak błyskawicznie zdobywał sobie zaufanie admiralicji, a szpiegów i sprzedawczyków japońskich było zatrzęsienie.

– Nie musi się pan spieszyć. Poczekał – rzekł lord, ukrywając złość, bo się widać zorientował, że go mam za agenta Orientu.

– Zatem jeszcze raz podsumujmy. Twierdzi pan, że profesor Molier, zapuściwszy się w najdalsze oceaniczne głębie, zaplanował później drugą próbę wyjścia na ląd? Na podziemiu!... Jak to możliwe? Czyżby nie obawiał się zalanania i utopienia? I dlaczego ryzykował tę bardziej niebezpieczną drogę?

– To już będzie inna opowieść. Mniemam, że sam pan Molier wyjaśni rzecz całą w szczegółach. Zresztą dla takiego kawitologa jak pan sprawy szybko staną się oczywiste.

Na jawne pochlebstwo uśmiechnąłem się pod wąsem. Było jasne, że lord pragnie mnie sobie zjednać. Co do kawitologii, to nowa dziedzina szybko zdobywała popularność. Przemysł na jej fundamentach powstały mógł odmienić losy cywilizacji nie tylko ziemskiej, ale też księżycowej – w planach kolonizacyjnych.

– Błagam pana o pośpiech.

– A to dlaczego?

– Losy profesora ważą się teraz, bo w każdej chwili może on zginać z ręki nieznanym nam bliżej plemion, zamieszkujących najgłębsze ziemskie otchłanie. Nie wiadomo, czy to są dzicy ludzie, czy udające inteligentne małpoludy. Upraszał szczególnie o pańską pomoc. Pańskiej grupie speleologicznej również poświęcił chwilę uwagi. Zażądał, aby go możliwie najszybciej ratowano.

– Zaraz mam pójść? – roześmiałem się.

– Nie mamy czasu do stracenia – odparł żarliwym, rozkazującym tonem. – Niech się pan czym prędzej ubiera! I zavezwie kamerdynera, by ten pobiegł do stacji telegrafu i zawiadomił innych, najbardziej pana zdaniem zaufanych i pomocnych.

I gdy ja, tak zdumiony własną reakcją, rozsyłałem wieści listowne do przyjaciół rozrzuconych po miastach i miasteczkach w obrębie stanu Victoria, on już załatwiał na-

stępne glejty, kody do maszyn drabiniastych i pozwolenia wejścia do obszarów ściśle zamkniętych.

W mig byliśmy gotowi.

2

Opowiadając całą historię Abelii, przypomniałem sobie inny list, zapewne wmieszany w plik pozostałych, adresowanych do pięknej mej pani. Niestety, nie potrafiłem go szybko odnaleźć. Wysypałem tedy ze szkatułki całą korespondencję i bez jej pozwolenia zacząłem grzebać w słoiku na rulony pocztowe, stojącym na stoliku obok. Odnalazłem ten właściwy. Otworzyłem i już bez zachęty odczytałem:

Przygoda stała się symbolem czasów. Ryzyko modą. Sława potrzebą! – tak brzmiał zamieszczony w kopercie bilet wojskowej rekomendacji. Skupiłem się na treści listu:

Najdroższa Abelio...

Nasza doskonale wyekwipowana ekspedycja dała z siebie wszystko, by dotrzeć do wskazanej przez lorda Bizzarda komory. Niestety, była ona jeszcze pusta. Z wielkim mozolem posuwaliśmy się dalej w głąb nieznanych szczelin, których być może żadna jeszcze ludzka stopa nie tknęła i wzrok ludzki ich piękna nie ogarnął. Stropy wyrastały przed nami w dal i otwierały się nowe, w skorupie ziemskiej zaistniałe dziury. Pusta przestrzeń zdawała się biec w nieskończoność, przesywając ziemski glob być może na wskroś. Sam w to nie wierzyłem, bo gdzieś przecież musiały mieścić się owe jądrowe piece pełne gorącej lawy i gazu, te wentylacyjne kanały, poprzez które nasza staruszka planeta oddychała na trudnej orbitalnej drodze.

Wkrótce pobiliśmy wszelkie rekordy głębokości. Zeszliśmy poniżej trzydziestu pięciu tysięcy dwustu metrów i naszym zegarom maszynowym skończyły się skałe. Gdzie nam tam było do spodziewanych sześćdziesięciu kilometrów? – myślałem.

Niemożliwym wydawał się taki dystans, ale dane przez lorda słowo honoru potrafiło przekonać najgorszego uparciucha. Trzeba było ciągle przystawać i regulować psujące się tarcze. Wyrzebanie z plecaka nowych, wcześniej już przez zegarmistrzów przysposobionych, wkrótce stało się niemożliwym. Ich też zabrakło. Zalały mnie wszystkie możliwe poty i obleciał po jakimś czasie prosty, żołnierski strach. Zatrzymaliśmy się na krótki biwak, rozstawiając na trójnogach światło, więc skorzystałem z okazji, by rozwiać wątpliwości:

– Lordzie Duncanie, niemożliwym są wskazania pana Moliera – jęknąłem do prowadzącego ekspedycję. – Nie ma w skorupie ziemskiej takich dołów.

– Czegóż się pan obawia, do diaska? – warknął, przewijając na nowo liny i spoglądając niespokojne w niezakłóconą żadnym światłem głębię. Wielka elektryczna lampa na jego hełmie zaledwie się już żarzyła, wypuszczając krótkie, niewyraźne błyski.

– Najpewniej erupcji wulkanicznej – zakpił ktoś z boku, widząc moją kwaśną minę. Ta sama para przyjaciół parsknęła zdrowym śmiechem. Dodawali mi otuchy tym ciągle kipiącym, ożywczym poczuciem humoru.

– Lawa pana w nagłej erupcji przesmaży – ryknęli nowym rechotem inni.

– Doprawdy, tego się pan takich ewentualności boi? – upewnił się łowca, patrząc na mnie badawczo. – Taki z pana kadet? – wszedł mi na ambicję.

– Widzi pan, sporo na temat geologii i szybów powietrznych czytałem i wiem. Kawitologiczne triki potrafią przerazić – wyjaśniłem, siląc się na spokój. – Ta biegnąca w nieskończony dół szczelina wygląda mi na jaskinię, powstałą w wyniku gwałtownego wydalania lawy. Komory wyglądają jak próżnie po dużych pęcherzach gazów wulkanicznych. Niewątpliwie były nieczynne przez setki milionów lat, ale obraz ten może

ulec zmianie w ciągu najbliższej sekundy. Przeklęcie gorąco się robi.

– Może i tak wyglądają, ale zapewniam pana, iż jest to typowa szczelina grawitacyjna, powstała w rezultacie ruchów masowych: spęływania, długoletniego osuwania i nagłych obrywów. Jeśli jaskinie wytrzymały w tym stanie setki milionów lat, a wiek ich zapewne może pan potwierdzić, to wytrzymają jeszcze ten rok i następny – zaśmiał się. – Temperatura wkrótce spadnie, a powietrze znacznie się polepszy. Byłem tu. Zaszedłem tak daleko. O, tam leży ogryzek mojego wyrzuconego cygara. Tam stałem, mierząc się z ciemnością i też myśląc o rezygnacji.

– W końcu pan zawrócił?

– I żałuję – odrzekł, patrząc na mnie z niechęcią.

– Ależ wskaźniki zegarów dawno już przekroczyły głębokość limitu zejścia – zripostowałem usprawiedliwiającym tonem. – Zmieniamy tarcze po raz dwunasty. Poza tym kończy nam się jedzenie i pozostaje pytanie, kto nas zaprowadzi z powrotem, gdy zabraknie nam baterii i paliwa w maszynierii drabiniastej lub choćby oleju do pochodni reflektorowej?

– Niech pan nie panikuje. Wiem, co robię – odparł lord Duncan, węższąc nieustannie, jakby ciemność w dole skrywała znane mu, a piekielnie niebezpieczne tajemnice. – A pan, jak widzę, znakomitym jesteś urządzeń drabiniastych operatorem. Nigdy nie widziałem lepszego. Chodzą pod pana komendą i ludzie, i zawory, jak się patrzy! Organizacja działa pod okiem mistrza – ocenił dziarsko. Hm, podnosił nam morale. – Maszyna to się składa, to wydłuża, to sapie, ale odnajduje się w ciasnych wnękach i trzyma najmniejszej skalnej półki. Powtarzam panu nie po raz pierwszy, że już tu z profesorem Molierem bywaliśmy. A co do jedzenia, to wkrótce coś upoluję. Pojawią się rośliny i bardzo pożywne grzyby. Ugotujemy tam na dole zupę, wykorzystując gorące źródła. Cierpliwości trochę.

– *Ależ to nie może być. Armia ten teren zaliczyła do sekretów wojskowych. Wszystko tu spisano i zewidencjonowano. Nie ma żadnych źródeł – udowadniałem.*

– *Odkryliśmy z Ocearusem przejścia zupełnie niezależne. Nikogo tam przed nami nie było. Oczywiście jest, że wojskowi nie wyściubili dalej nosa.*

– *Gdzieżby miały być wydrążone naturalne studnie, pełne wody i życia?*

– *Niech pan nie myśli, że mu tak od razu odpowiem. Jeszcze kilkanaście kilometrów i dojdziemy do tego miejsca.*

– *Kilkanaście?*

Machnął niecierpliwie ręką, zbywając moje uwagi.

– *Gdzieś tam czeka pan hrabia Molier ze swą hinduską ekipą nurków i braminów. Co mówię? Wspina się w naszą stronę, czym prędzej wbijając w opokę haki i przewijając liny, i hardo sobie po indyjsku przyśpiewując. Bo to lingwista jak się patrzy i człowiek doprawdy święty. To samo mówi o panu, bo szalenie go sobie ceni i za poglądy miłuje.*

– *Znowu mnie pan urabia.*

Tymczasem lord Duncan nie przerywał:

– *Posiada on wszelkie narzędzia, zapasy olejów i pożywienia, i minerałów dopingowych niezbędnych do życia w jaskiniach. Metamorfozy znane tylko braminom ma w jednym palcu. Co pan myśli? Toż to wybitny naukowiec i fachowiec w jednym. Gdy się w końcu spotkamy, jednym rzutem wyguzdamy się na powierzchnię. Zresztą, gdzie się panu tak spieszy? Przecież trwają w Melbourne letnie czterdziestostopniowe upały.*

Jakby po dobrej chwili dopiero do mnie dotarło, że m przysnął, bo już ramiona mi omdlewały, a mięśnie nóg przebiegały bolesne skurcze.

– *To ile szczelina sobie liczy metrów według pana? – zapytał młodzieniec kształcący się na wspinacza. – Bo wiem od wujka*

o oficjalnie najgłębszej leżącej w Gruzji, a sięgającej zaledwie dwóch tysięcy metrów.

– Proszę pana, owa dziurka przez pana wspomniana jest dostępna dla turystów i pasjonatów – odezwał się pan Bizzard, dziwiąc się obecności smarkacza, którego bodaj nikt by nie zatrudnił. – Pchła przy stoniu, jeśli nazwać rzecz dosadnie i po imieniu. Też lubię pasażerów na gapę, ale skąd pan tu się wziął, u diaska? – strofował młodziana, patrząc od razu na mnie i poszukując wskazówki.

– A jaka jest oficjalna interpretacja? – drążył zainteresowany, zupełnie niespeszony potraktowaniem z góry.

– Hm. Jaskinia Krubera¹² nie jest obiektem ścisłego zaszeregowania militarnego – skomentowałem.

– Dlaczego?

– Mówiąc szczerze, ze względu na ukształtowanie i niewystarczającą długość nie nadaje się do przeprowadzenia podziemnej inwazji na obce królestwo.

– A więc groty militarne są dłuższe i otoczone ścisłą tajemnicą? – spytał młodzian, bynajmniej nieobznajmiony z nomenklaturami.

– Oczywiście. Ich położenie i rozmiary są tajemnicą państwową. Służyć mogą do potencjalnego desantu podziemnego. A jaką zna pan oficjalnie najdłuższą?

– Mówi się o amerykańskiej, Mamuciej¹³...

– I ile ma kilometrów?

– Bodaj pięćset sześćdziesiąt.

– Widzi pan więc – wtrącił szybko pan Bizzard – że co jest możliwe w poziomie, to powinno być i w pionie. I niech pan z łaski swojej zejdzie z linii mego wzroku, bo nie chcę dochodzić, skąd pana się tu wzięła obecność.

– Ależ sam panu powiem. Jestem reporterem prasowym.

– Ot i szmaciarz się prześliznął! – zareagował z humorem pan Bizzard. – Niech pan przynajmniej pisze prawdę.

Niech nas czytają i podziwiają! – dorzucił, aż echo się po wnękach poniosło.

– Z pewnością, panie szanowny. Zrelacjonuję jak się patrzy.

Zapanowała chwilowa konsternacja, jakby wykryto w towarzystwie obecność tajnej policji. Wreszcie ja postanowiłem drążyć:

– Ale skąd dobrodziej pan Molier wziął się na takiej głębokości? – jeszcze raz się dopytałem, czując, że rośnie mi pod bokiem grono wątpiących w ideę dalszego zejścia.

– Dotarł tam od strony morskiej – odpowiedział dość niechętnie Bizzard.

Tutaj roześmiałem się w głos, aż kolejne echo się w groźnej ciemności poniosło, zamieniając w oddali w dziwne szczekanie. Przeszły mnie ciarki na myśl, co akustyka pomieszczenia potrafi zrobić z dźwiękiem.

– Przecież gdyby wszedł hrabia od strony wodnej, dawno by siebie i nas potopił, bo to by były naczynia połączone?

– Proszę trzeźwiej myśleć, panie De Waay. Mamy w ziemskiej skorupie do czynienia z wieloma milionami izolowanych próbówek. Każda z nich wywiera wpływ na pozostałe. Balansy utrzymują się automatycznie. Wszelkie kapilary są tego najlepszym przykładem. Zresztą kogo mam uczyć? Geologa?

– Przyznam, że ostatnie wypadki wprowadzają dość poważny bałagan do mej dotychczasowej wiedzy.

Tu mnie kompletnie swoim pytaniem zaskoczył i zaniepokoił:

– Ale może on od innych poziomów morza przybywa?

„A niby skąd?” – pomyślałem. Dałem spokój tej inwestygacji, bo lord wyraźnie na nerwach się wznosił i gotowy był mnie zepchnąć w czeluści.

– Jeszcze niech pan zapamięta mą radę – dodał. Tu zbliżył się, patrząc na mnie spode łba. – Środowisko przyrodnicze w najgłębszej pieczarze odznacza się dużą specyfiką własną. Mocno ją wspiera stały mikroklimat. Zwyczajny brak wahań

temperatury i duża wilgotność sprzyja życiu swoistemu i zupełnie wyjątkowemu. Być może pochodzącemu z innych światów. Nie tylko w miejscach przy otworach, gdzie wy, uczeni uniwersyteccy, dajecie mu szansę na wodę i słoneczne światło.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem i ganiąc go za nietakt, odpowiedziałem równie przyciszonym głosem:

– Zwykła logika pozwala przypuszczać, że istotnie tak jest. Nauka boi się profanacji zasadnej tezy.

– Oj, panie, panie... Wiedza szkolna to za mało. Potrzebna jest wiedza dogłębna, intuicyjna, dopuszczająca istnienie zjawisk przyrodniczych w iście nieziemskich warunkach, wręcz bramińska – wyjaśnił. – Gdzieś od czterdziestego kilometra w dół zobaczy pan nagłą różnorodność organizmów podpowierzchniowych, takich jak kartupnie i chodaki, występujące wyłącznie w obszarach i wodach podziemnych. Owe troglobionty¹⁴ czerpią widocznie energię z rosnących tam na gwałt w siłę ognisk mineralnych. Ujrzy pan mnogość gorących źródeł. Odnajdzie pan w głębi całe lasy zaginionych lub nigdy niewystępujących na powierzchni roślin, gigantycznych ziół i kwiatów, a w gąszczu przygruntowych chaszczki zaszytych tam mieszkańców, których istnienie na powierzchni nigdy nie byłoby możliwe.

– Ma pan na myśli praszczury?

– Mam raczej na myśli formy plioceńskie, nie tak bardzo odległe jak kredowe i jurajskie. Oraz byty obce, pochodzące z sekretnych bram.

– Małpoludy? – Powiem, że na nowo przeszły mnie ciarki jeszcze głębsze i o dłuższej konsekwencji bolesnej. Dopiero teraz naprawdę zrozumiałem, dlaczego nas prowadzi w dół myśliwy, a nie jakiś powszechnie dostępny górnik z licencją strzatowego i wspinacza.

– Raczej podejrzewam potomków plemion dzikich, którzy w odległej historii tu zeszli i się zadomowili.

– Musieliby oślepnąć od mroków.

– Ależ dlaczego? W dole ściany wydzielają własne fosforowe luminescencje, a z powodu bliskości ciekłego jądra pojawiają się gdzieś podskalne żyły biegnącej lawy. Gwarantuję, że kiedy dotrzemy do celu, zdziwi się pan niepomierne. – Tyle mi powiedział...

Zakończyłem czytanie. Tymczasem Abelia już nie słuchała. Usnęła biedaczka, oparta głową na moim prostym, oficerskim ramieniu.

3

Tyle tych wspomnień...

Tymczasem dużo bliżej, bo na Collins Street, najpiękniejszej na kontynencie ulicy, toczył się ospale kablowy tramwaj piętrowy, ciągnący dwa odkryte wagony pełne roześmianych i rozśpiewanych dam z koronkowymi, przeciwśłonecznymi parasolkami. Budziły respekt i wywoływały uśmiechy śpieszących gdzieś dżentelmenów. Niektórzy, odnajdując znajomą twarz, uchylali rąbka lśniącego cylindra i spontanicznie, jak to bywało na antypodach – pozdrawiali; inni, będący zapewne taktowniej nastawieni lub powodowani względami szacunku najwyższego sortymentu, zdejmowali kapelusze lub meloniki. Byli też tacy, co stając z boku, kornie spuszczały oczy. Podejrzałem w nich służących lub kamerdynerów. Trębacz na przedzie tramwaju zagrał kolejną melodię, a pastor z ospowatą twarzą, stojący przy ławce, zachęcał do podejmowania pieśni.

Parsknąłem krótkim śmiechem. Collins Street, będąca symbolem dynamicznie rozwijającego się Melbourne, posiadała swój nieprzeciętny walor i szyk, i bulwarową ekstrawagancję. Tutaj palił się znicz dynamicznie rosnącej ludzkiej cywilizacji. Tutaj rwała rzeka inwencji i lokowały swe przedstawicielstwa przedsiębiorstwa będące owocem najbardziej ryzykownych inwestycji. Otwierały się biura i zakłady z całego modnego świata. Mijałem niebywale stłoczone tu dorożki, jakieś najnowsze automobile i jednokłady parowe lśniące od blach i roznoszące pachnidło nie tylko niedopalonych oktanów, ale i najnowszej, zastosowanej w oponach gumy. Spotykało się też wolnych jeźdźców

lub też łowców zdziczałego bydła ciągnących spokojnym stępem ku granicom miasta z wielkimi, parowymi strzelbami w olstrach.

Roześmiane twarze mieszały się z krzykliwymi grymasami sprzedawców gazet. Na smutek brakowało tu miejsca.

Tumult głosów i obrzydliwy zapach prostego robotniczego potu mieszał się na chodnikach z wykwintnymi perfumami starych panien plotkujących w ogrodach. Ostre wonie wód kolońskich nadbiegały od gładko ogolonych, pryszczatych pysków młodzieży szkolnej. W bramach i przejściach należało się zmierzyć z fajkowym odorem stojących przy rozwartych kramach wytrawnych sklepiarzy i jarmarcznych krzykaczy.

Obojętnie minąłem siedzących na krawężniku żebraków i samotną kobietę z uwijającym się przy drobnych kradzieżach stadkiem dzieci. Naprawiający trotuar robotnicy głośno i sprośnie śpiewali. A ja, już ostatecznie znudzony i powodowany pragnieniem spokoju i chłodu, skręciłem w poprzeczny zaułek.

Wkrótce dotarłem do mojej prywatnej kamienicy na Elizabeth Street. Nic dziwnego, że wzbudziłem zdziwienie stojącego przy bramie dozorca. Ani on, ani pozostali domownicy nie spodziewali się mnie o tak wczesnej porze.

Dlaczego?

Muszę powrócić pamięcią do poranka dnia poprzedniego.

Wszystko zaczęło się w deszczu. W nagłej iluminacji i przyptywie szalonej refleksji postanowiłem poważnie się na krok ostateczny. Zaprzagnąłem spalić za sobą wszystkie mosty, a osoby drogie uwolnić od swego ciężaru.

Po mych policzkach spływały zimne krople padającego deszczu. Nos pozwalał sobie być mokry, a zwisająca z niego kropla wydawała się wprost ordynarna i obrzydliwa.

Jakże robiłem sobie na złość...

Załomotałem do drogich mi drzwi. Skrzydła rozwarły się nagle i na progu nie ujrzałem czarnej służącej, jak to zazwyczaj bywało, ale kwiat ów precudny, którym w do-
czesności życia można tylko wymarzyć niespełnione sny.

Uniosłem roztrzęsioną rękę. Gdzieś tam wymierzyłem. I wstrzeliłem, przeszywając kulą wielkie serce w pięknej piersi. Abelia z głuchym łomotem runęła na pieczołowicie wypastowane deski podłogi. Nie wydała przy tym z siebie ani jęku, ani westchnienia. Odeszła tak niespodziewanie, jak ja pomknąłem w dół ulicy, wpadając na dorożki i potracając dżentelmenów na bicyklach. Płacząc i złorzecząc na siebie za mord, wyzalałem się do obcych, powodowany nerwowością i goryczą. Wszystkie te konie i chmary latających pocztylionów zewsząd mnie osaczały i ogłuszały pustym oskarżeniem – morderca!

Nie, nie wystrzeliłem żadnej kuli.

Broń ty Boże...

Sam sobie wpieryw winienem był rozchłapać mózg!

Spoglądałem w roztargnieniu, boleśnie roześmiany, i z na poły zaciśniętym gardłem, rozżalonym tonem zacząłem:

– Jestem, o pani, bydlakiem najgorszej maści, gatunku podłego przedstawieniem, niewartym oglądania ułamkiem, a nie wielkością człowieka. Pragnę najmocniej prosić o wybaczenie!

Bredziłem, ciągnąc jej dłoń, a z palca pierścionek zaręczynowy o sporej wartości zdzierałem. Zakupiłem już bowiem na jego poczet gumę, miedź i szkło. Niezbędne składniki jedynych w swoim rodzaju podręcznych batyskafów.

– Jack? To ty? Chcesz się z małżeństwa wycofać, ot tak, zaraz? Mam rozumieć twe słowa jako pogardliwe, a podniecenie wziąć za radosny pęd do ucieczki, a nie do kochania? – Rwało się jej serce z ust. A z rosnącym bólem, zadyszana i spocona, ciągle wątpiła. Bo widząc mnie

nonszalancko nadchodzącego ulicą, z pokoju na piętrze puściła się pędem, by jeszcze przed służącym ująć srebrną klamkę i rozewrzeć podwoje przed ukochanym.

– Mam już czterdzieści sześć lat – tłumaczyłem się i jąkałem. – Muszę coś wreszcie osiągnąć. A kocham panią ponad wszystko, i zawsze będę. Me uczucie nigdy nie wygaśnie, a serce, dla pani rosnąc, nie zwiędnie. To nie żar zwykły, to prawdziwa huta gotowa roztopić wszystkie ziemskie kawałki stali.

– Cenię w mężczyźnie nie tylko szlachetność, ale i dojrzałość. Pragniesz mi udowodnić, że w tym drugim się pomyliłam?

Spróbowałem więc z innej beczki. Klęknąłem na schodku. Ucałowałem chłodną dłoń.

– Tak się składa, że postanowiłem porzucić pracę, dom i karierę, zamknąć marne bankowe konta i wrzucić wszystko w jeden portfel.

– I moje pieniądze też utopiłeś?

– Też. – Tu ona, już nie wątpiąc, sama z siebie ściągnęła pierścionek i rzuciła mi w twarz. Upadł był i brzęknął o stopnie. A ja toczący się po schodach klejnot zręcznie pochwyciłem w samą porę i dalej mówiłem jak w malignie:

– Udać się pragnę na niebezpieczną, jedyną w swoim rodzaju wyprawę na Ocean Południowy. Tam zasłynę i dorobię się fortuny!

– Do krainy fok, pingwinów i wielorybów? Kompletnie zdurniałeś?

– Abelio... zrozum.

– Niech zgadnę... Z tym fałszywym wielorybnikiem, szaleńcem, rozwodnikiem i oszustem w jednej osobie? – Targała jej słowami złość. Rozświetlał wymowę złowrogi blask cudownych oczu. I wciąż leciały epitety. – Z bezecnym naukowcem, podupadłym profesorem? Badaczem

wszelakich bzdurnych praindyjskich tajemnic? Tym samym, który ponoć wyniki czyjejs pracy naukowej zrabował i pomysłły sobie bezczelnie przywłaszczył?

– Pan profesor Molier nie jest wielorybnikiem, nie jest oszustem, a co więcej – nigdy nie był niemoralnym łotrem! Jest człowiekiem prawym, uczonym w każdym calu i ze wszech miar rozgarniętym, którego podła żona puściła z torbami, a córki w starości zapomniały.

– Sam widzisz.

– Co widzisz? Darzę go szacunkiem i wprost uwielbiam.

– Zniszczysz naszą miłość dla łachudry?

– Nic to nie ma do rzeczy. Niczego nie zniszczę. Tylko bardziej cię ukocham i żarliwiej będę o tobie myślał.

Puściła me słowa mimo uszu, ale widziałem, że robią na niej wrażenie. Drżała na chłodzie poranka.

– To cóż takiego wyjątkowego odnalazłeś w człeku, który nie tylko może ogołocić cię z majątku, ale i z życia?

– Dżentelmen ten posiada rozległe zainteresowania i sięga w badaniach do samej głębi rzeczy niezrozumiałych, tajemnych i normalnym zjadaczom chleba niedostępnych, a broń, którą zabiera w podróż, nie jest przeznaczona bynajmniej do zabijania wielorybów. Sieci nie służą do łapania ryb, wprost przeciwnie – do ich odstraszenia. Wielkie pływające magnesy wypuszczają z siebie lepkie liny przydatne nie tylko do ogłuszania, ale i krępowania zdobyczy tak wielkiej, że porównywalnej z masą całego statku. Pojmujesz teraz? – Spojrzawszy na jej rozczarowane oblicze, dodałem: – Ale gdzież zwykła dama byłaby w stanie te wielkości zrozumieć i podziwiać?

– I ja niby jestem ta zwykła? – Z miny wywnioskowałem, że trzaśnięciem drzwi gotowa mi była uciąć łeb.

– Tak się akurat składa, że wielowarstwowe siatki, zdalnie kierowane harpuny i karabiny maszynowe szy-

kowane są na wypadek spotkania z gromadą masywnych stworzeń, pochodzących z wymiarów nieprzynależnych tym światom.

– Spirytualistyczne brednie! – zakrzyknęła, aż porwały się w powietrze wystraszone gołębie.

– Nigdy ci nie przyszło do głowy, że duchy i straszdyła mogą nie pochodzić ze świata zmarłych? Może są to byty niepokorne, które żadnym sposobem nie potrafią się zmieścić w ciele człowieka czy zwierzęcia? Być może pochodzą z dalekich światów albo, co gorsza, z tych równoległych?

– Czegóż więc on szuka?

A ja, zamiast zrazu wyjaśnić, przekonywałem:

– Nikt dotąd nie przygotował się tak skrupulatnie! Przynajmniej nieznanymi mi jest podobny męczennik nauki.

– Doprawdy? – ironizowała.

– Zgromadził mnóstwo rzetelnych informacji, a fotografiami wyspy fantomowej na południe od Macca wprost mnie zachwyił. Podarował mi owe dane wydane w formie katalogu oprawionego w wojskowe skórzane portfele i tak zakodowane, by możliwość odczytania ograniczyć tylko do wtajemniczonych.

– A ten fałszywy lord, którego sam nazwałeś upartym, aczkolwiek honorowym draniem?

– Ależ to postać nienaganna. Twardy, zdecydowany mężczyzna. Charakter o wojskowym wychowaniu i najwyższym oficerskim morale.

– I niby to wszystko, tak mało znaczące szczegóły, odwiodły cię od małżeństwa ze mną? – spytała z bólem.

– A miłość, Jack? Czy kiedykolwiek czułeś coś do mnie? – wzywała me serce.

– Oczywiście, że jesteś mi bezcenna. A zaraz po powrocie ożenię się z tobą i już na zawsze pozostanę u boku twego pantoflarzem.

– Dlaczego więc uciekasz się do ostateczności? Przecież nawet będąc mym mężem mógłbyś kontynuować swe pasje.

Zadrzały mi wargi, lecz opanowanym tonem jej słowom się oparłem:

– Pragnę sięgnąć po szlachetną rękę pani, będąc już finansowo uposażony, z bogatym szlacheckim dorobkiem, być może z medalem zasługi i rentą roczną Kolonialnej Akademii Nauk. Interesują mnie kwoty miesięczne opiewające na co najmniej czterysta funtów w złocie. Marzy mi się dom na przedmieściach z balkonami na wszystkie pory roku, rozległym parkiem i niańkami dla dzieci. Nie chcę stać się ciężarem dla pani i ciężko pracującego w interesach teścia ani strupem bolesnym i nędznym dla teściowej, lady Miriam, która już nieraz patrzyła na me wyczyny krzywym okiem.

– Ale przecież nikt tego od ciebie nie wymaga, Jack.
– W jej głosie zawibrowała nie tylko rozpacz, ale i nadzieja. Stała się niesłychanie ciepła i łagodna. Pięknym oczom pozwoliła błysnąć, a ustom rozchylić się delikatnie. – Ojciec mój dawno już pana zaakceptował! Postawił nawet czynszową kamienicę w mieście, która w przypadku gdybyśmy w niej nie mieszkali, przyniesie roczny dochód wysokości czterech tysięcy funtów w złocie. Słowem: zabezpieczył mnie przy panu na całe życie.

– Nie chcę jałmużny. Przyrzekam do pani po mej wyprawie dalekomorskiej powrócić i spełnić jej wszelkie roszczenia. Stąd proszę o rok, dwa zwłoki i uruchomienie zasobów jeszcze większej cierpliwości.

– Raz zamknięte drzwi mogą się już nie otworzyć – ostrzegła.

– Pragnę najbardziej pani serca i tylko na nie stawiam – powściągliwie odpowiedziałem na jej wątpliwość, bo mnie ciut tym ostrzeżeniem uraziła. – Na nikim więc jej mi nie zależy – dodałem sucho.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

Zaskrzypiała zamykana żeliwna furтка?

Nie...

Jakież pisk ohydny wydała! Ileż w nim było żalości! Nie muszę mówić, jak zawtórował on bólowi, który cierpiałem. Krok wykonałem, a już cierpienie sprawiła mi ta rozłąka. Krążyłem po ulicach jak pijany. Bóg mi tylko świadkiem, ile razy wracałem pod jej dom, stawałem na krawężniku, wzdychałem, gdy poruszyła się dyskretnie zasłonka w oknie, i zawracałem, by pogrążyć własną osobę w mrokach oficy. Godzinami krążyłem po okolicy, bijąc się z myślami.

Nie było wątpliwości, że na polu miłości polegnę. Przecież tutaj ryzykowałem najbardziej. Nikt nie miałby wątpliwości, że odrzucenie uczucia tak gwałtownego i jednocześnie niestałego, jakim jest kochanie, wiążąc się może tylko z nieszczęściem. Dlaczego, na Boga, szczęście osobiste stawiałem na ostrzu noża? Czemuż zawsze narażałem fortunę, stawiając wszystko na jedną kartę? Skąd brała się u mnie ta lekkomyślność, nikkzemność i samozniszczenie? Praca i kariera były niczym w porównaniu z utratą bliskości najszlachetniejszej duszy.

Wreszcie po tygodniu nie wytrzymałem, zrezygnowałem z fochów i pobiegłem do dzielnicy arystokratów. I znów stanąłem, mierząc się z zamkniętą na cztery spusty furtką do rezydencji.

Stukałem, pukałem i nic.

Pobiegłem wzdłuż płotu.

Wreszcie po drugiej stronie ujrzałem lady Miriam, matkę mej ulubienicy, jak pielęgnuje róże. Dyskretnie zawołana, podeszła i przeszła mnie najgorszym z możliwych spojrzeń:

- Stary kawaler Jack De Waay? Niech mnie pan obecnością swej osoby w nerwach nie roznosi! – zagrzmiała.
- Naszej Abelii nie ma. I długo nie będzie. Wyjechała

z Melbourne do majątków mineralnych Daylesford¹⁵ i nie wiem, kiedy wróci. I proszę tu już nie przychodzić i nie dreptać po okolicy, bo się bogaci sąsiedzi niepokoją. Nie wypada też po tym, co pan zrobił, żebrać o widzenie po przyjaciółach hrabianki – zwróciła się do mnie tonem najwyższej pogardy. – Natomiast tu, przy rezydencji, obiecuję poszczuć pana hartami i obrzucić aborygeńskim urokiem. Jeśli to pierwsze nie pomoże, to drugie przyprawi pana o śmierć.

Odsunąłem się na dystans, nie wiedząc, co robić. Odszedłem w stronę miasta. Tymczasem zamykana na klucz furka szczęknęła, gdy ją mijałem, a spoza niej wychyliła się ponownie ciekawska głowa niedoszłej mej teściowej.

– I z kim pan się zadaje? – odezwała się jeszcze raz z pretensją. – Z tym szaleńcem i pomyłonym naukowcem, Ocearusem Molierem? Z lordowskim bandytą Duncanem Bizzardem? Wszyscy oni nie są warci złamanego szeląga!

Tu odwróciłem się na pięcie i z oburzeniem skonstatowałem:

– Szlachetna pani, wspólnie planujemy wyprawę badawczą, która przyniesie krocie w sztabach metali szlachetnych.

– Głupcem pan jesteś. Czytam gazety. Wielu się tam gorączkuje fotografiami z japońskiej fregaty. Wciągnięto na pokład poczwarg wielkości wieloryba. Też mi coś! Pełno w oceanie niewyjaśnionych tajemnic, zagadek i sekretów zatopionych przez starożytne potęgi. A pański profesor już na samym początku się zrujnował. Wydał sześćset tysięcy funtów na jakąś podwodną baryłę i ekwipunek do niej. Nie wiem, co za idiota mógł mu pozwolić załadować owe ciężary na ten nędzny bryg! Pańskie sztaby? Pomogą tylko panu się utopić.

– Widzę, że posiada pani wielką wiedzę szemraną. Nic, tylko plotki i pomówienia.

– Bez przesady, Jack, nie tylko famy ludzie roznoszą. Niestety, bardzo mało posiada pan Molier życzliwych wokół siebie osób. Zwykle otaczają go sami prześmiewcy. Wiem już tyle, by skutecznie odradzić córce zamążpójście. Tylko by pan młode życie zniweczył. A taka wyprawa się panu przyda. Może zdrowie pan utraci albo i życie? – zazyczyła sobie stara jędza.

– Widziałem próbki wodne pełne złotych drobin.

– Toż to bluźnierstwo dla rozsądnej myśli. Napoili pana herbatą ze zwidami?

– Sir Ocearus miał brata...

– Który zaginął w tej samej mętnej i bezdennej głupiej wodzie? – spytała dama. – Tamten przynajmniej konstruktorem był, bogaczem ponad miarę. Roztrwonił majątek, ale stał się dla nauki i techniki zasłużonym. Sam potrafiłby skonstruować pocisk marsjański, wsiąść weń i odważnie odlecieć. A ten pana Ocearus? Maniak i nieudacznik.

– A wie kto, czy gdzieś skrycie w swej prywatności tejsze sztuki nie dokonał?

– Zbudowałby w tajemnicy bazę na Księżycu? Bardzo wątpię. Proszę mi wierzyć, to fajtłapa i nadgorliwiec. Do widzenia panu. – Machnęła na pożegnanie ręką. W półmroku ogrodu jej wielki kwiatowy kapelusz zaledwie majaczył, gdy tak odchodziła i stawała się coraz bardziej zamazana we wzbierającej przedwieczornej mgłę. Wspinając się po stopniach schodów, wołała:

– I proszę już tu nie przychodzić. Niech czas pozwoli córce mojej pana zapomnieć.

Necrolotum

Copyright © Jan Maszczyszyn

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-354-7

epub ISBN 978-83-7995-355-5

mobi ISBN 978-83-7995-356-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Agnieszka Zawadka

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl



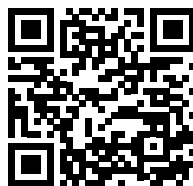
JEDYNE: ŚCIEŻKI KRWI PAWEŁ MAJKA

Jedyne - centrum Wieloświata jest areną nieustającej walki o wpływy pomiędzy frakcjami politycznymi, religiami, korporacjami, gangami i tajnymi stowarzyszeniami. Obiektem ataków rebeliantów, terrorystów, anarchistów i „zaszumionych”. Raz na jakiś czas, kiedy Jedyne próbuje uwolnić się spod władzy Króla, rywalizacja staje się jeszcze bardziej bezpardonowa, a liczba zamachów i przewrotów gwałtownie rośnie.

W trakcie obławy na potężnego maga renegata do niewoli trafia jego syn – Myszon Oko. Chłopak co prawda posiada talent magiczny, ale wychowywany w zaściankowym świecie-widmie nie potrafi z niego korzystać. Mimo to na rozkaz Strażniczki zostaje wcielony do elitarnego oddziału Węzłów, tego samego, który go pochwycił. Wszyscy jego członkowie byli niebezpiecznymi buntownikami, których wolną wolę Król złamał, podporządkowując ich sobie i wyznaczając do trudnego zadania ochrony Jedynego.

Wkrótce Węzły zostają wysłane w pościg za Szalonym Widmiarzem, który podróżuje przez Wieloświat pradawnymi ścieżkami krwi. Schwytanie uciekiniera nie rozwiązuje jednak problemu bezpieczeństwa Jedynego, a wręcz przeciwnie, uświadamia Węzłom, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazł się wszechświat. Zaczyna się wyścig z czasem!

Paweł Majka, trzykrotny laureat Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, stworzył kolejny tętniący życiem świat, pełen niezwykłych i barwnych postaci. Nieskrępowana wyobraźnia, erudycja i bezkompromisowe podejście do rozmiaru kreowanych wizji gwarantują pasjonującą lekturę. Jeśli podobają Ci się „Kroniki Amberu” Rogera Zelaznego, „Ścieżki krwi” Cię zachwycą!





ZAKŁĘCIE NA WIATR PAULINA KUZAWIŃSKA

Gwinto Gerk to wilk morski, który zbiegł z rodzinnego miasta lata temu. Kiedy nagle powraca do domu, wszyscy przezuwają kłopoty. Tylko Arion widzi w wujku bohatera, a w jego opowieściach spełnienie marzeń.

Kiedy Gwinto wyrusza w dalszą podróż, pozostawia szkatułę pełną drogocennych kryształów i tajemniczą księgę oprawioną w skórę morskiego węża. Jego tropem rusza mag o srebrnych oczach, który nie cofnie się przed

niczym, aby go dopaść...

Jaką tajemnicę skrywa morze? Co łączy królewskiego maga i zwykłego żeglarsza? Czy zemsta warta jest każdej ceny? Arion wyrusza wbrew swej woli w podróż na kraniec świata, gdzie ma nadzieję znaleźć odpowiedzi na te pytania.





NOC KOTA, DZIEŃ SOWY:
ZAMEK CIENI
MARTA KŁADŹ-KOCOT

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avallach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym...

Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym Prządki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siądźmy więc cicho i patrzmy, jak splecą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udajmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wytyście słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowych skrzydeł.

Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwróconą stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawa, czym jeszcze mnie zaskoczy. - Marta Krajewska, trzykrotnie nominowana do nagrody im. J.A. Zajdla autorka Idź i czekaj mrozów, Zaszij oczy wilkom i Noc między Tam i Tu





KRAWĘDŹ: OTCHŁAŃ PIOTR PATYKIEWICZ

Świat zawieszony pomiędzy Niebem a Otcłłanią opromienia życiodajna Łaska. Przybiera ona postać słonecznego światła, które rozprasza mrok i błogosławi wszystko, co żywe. Czasami jednak objawia się w bardziej materialnej formie Anioła.

Kiedy jeden z takich wysłanników Łaski spada z niebios, pozostawia potężną emanację mocy. Dzięki niej zamieszkujący pobliską grootę pustelnik zaczyna czynić cuda i przyciągać wiernych. Wzbudza tym zawiść i pożądanie Mistrza Zakonu, który wysyła na przeszeptugi Najdka, sierotę przygarbnętego lata temu przez zakonników.

Chłopak staje się świadkiem zmagania pomiędzy światłem Łaski a demonami Otcłłani. To, czego doświadcza i wiedza, jaką zdobywa, stanowią ogromne zagrożenie dla ustalonego porządku świata. Najdek, aby uniknąć śmierci lub dożywotniego odosobnienia w klasztorze, musi uciekać. Wyrusza wraz z najlepszym przyjacielem Cabajem i naznaczoną przez Otcłłaań Zoją w podróż, która zawiedzie ich na Krawędź świata. Znajdą tam odpowiedzi na wiele pytań, ale i wiele pytań bez odpowiedzi.





PETERKIN & BROKK:
KSIĘGA CZTERECH
GRZEGORZ GAJEK

Bycie niziołkiem w szeregach policji to nie jest bajka. Odo Peterkin przekonuje się o tym niemal każdego dnia służby. Znosi jednak uszczypliwe komentarze elfów, ludzi i krasnoludów, gdyż tym, co sprawia mu największą przyjemność, jest rozwiązywanie skomplikowanych zagadek kryminalnych.

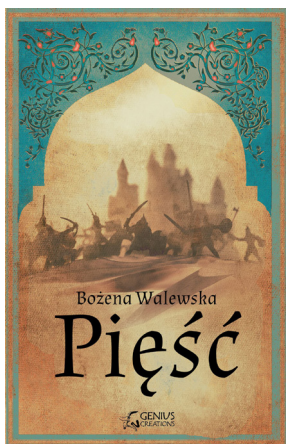
Tuur Brokk jest na pierwszy rzut oka przeciwieństwem Peterkina. To uosobienie idealnego policjanta. Krasnolud, weteran wojenny, bokser i postrach przestępczego świata, jak również, o czym wie niewiele, poeta i niepoprawny romantyk.

Pierwszym wspólnym zadaniem Odo i Tuura jest wyjaśnienie tajemniczej śmierci znanego muzyka Viventa Rossiego. Na ich drodze staje armia ożywieńców, powołana do życia w czasach Wielkiej Wojny, magowie i wilkołaki, dziennikarze i eugenicy, a nawet, o zgrozo, dziewczki wszeteczne! A to bynajmniej nie koniec niespodzianek...

Z daleka detektyw Peterkin i śledczy Brokk przypominają najślynniejszy tandem literackich detektywów XIX stulecia z opowiadań Artura Conan Doyle'a. Kiedy jednak przybliżyć lupę, na plan pierwszy wychodzą nie podobieństwa, ale te wszystkie smakowite różnice, które sprawiają, że ich śledztwa są tak intrygujące.

Michał Cetnarowski, publicysta, redaktor Nowej Fantastyki





PIĘŚĆ BOŻENA WALEWSKA

Gdy nadchodzą dni pogardy, nienawiści i krzywdy, a zło roznosi się jak zaraza, niszczy i odziera z godności, wtedy budzi się w zwykłych ludziach moc, która pozwala im wstać, choć czują, że nie dadzą rady unieść głowy, pozwala walczyć, choć każdy zadany cios wydaje się ostatnim.

Kal, potomek szacha, choć wydaje się słaby i niedoświadczony, z dnia na dzień musi wziąć odpowiedzialność za swój naród. Nair, spadkobierca korony Morovii, nie może już dłużej się ukrywać. Powinien przestać uciekać, a zamiast tego zebrać wokół siebie wszystkich zdolnych udźwignąć miecz, topór, a choćby i kij. Zwyczajny chłop z górskiej osady i samotna zielarka zaczynają odgrywać role, do których bynajmniej nie wydawali się stworzeni. Doświadczonego wojownika, którego życie zdążyło nauczyć, że nawet bohater cuchnie po śmierci i żadne poematy tego nie zmienia, również czeka nowe wyzwanie.

Oni i wielu innych muszą porzucić swoje domy, zostawić rodziny i ukochanych, zatknąć noże za pas, zacisnąć zęby i ruszyć, kiedy nadejdzie czas. Ktoś, kto im powie, że nie dadzą rady, łże! Bo choć czują się słabi, choć paraliżujący strach nieraz zajrzy im w oczy, to przecież mają moc – ona ich podniesie. Muszą tylko ją poczuć. W sobie i w innych. W słońcu i w deszczu. W snach i na jawie. Nawet w stracie.

Czy Ty wyruszysz z nimi w magiczną podróż?!

